665

TEATR

ANDRZEJ HAUSBRANDT

MERDE!

Generałowi Cambronne przypisuje legenda wprowadzenie słowa „merde" na karty historii. Miał on – jak powiadają – w czasie bitwy pod Waterloo zawołać:

– Gwardia nie cofa się, gwardia umiera – i dodać: – gówno!.

Trudno dziwić się napoleońskiemu wiarusowi, że w beznadziejnej sytuacji pozwolił sobie powiedzieć głośno to, co jego koledzy myśleli po cichu, a cała armia zapewne powtarzała od dawna. Owo niecenzuralne *„merde"* obniżyło nieco poziom klęski Cesarza Francuzów i strywializowało heroizm śmierci jego żołnierzy. Istota jednak nie w tym czy generał zaklął parszywie, czy też nie, ale w konstatacji, iż gwardia nie cofa się – gwardia umiera!

Śmierć i trywialność, wzniosłość i pospolitość, rynsztok i patos nieustannie egzystują obok siebie, współgrają i współżyją na naszych oczach, ba... w nas samych. I jest to równie naturalne jak wszystkie inne opozycje bytu ludzkiego, których wielkość i małość, wzniosłość i podłość mierzymy wzajemnymi różnicami, kontrastem, przeciwstawieniem. Nie ma rzeczy absolutnie wielkich czy absolutnie małych. Wszystko jest tylko wielkie wobec czegoś, podobnie jak i wobec czegoś innego okazuje się małe. Świat mierzymy skalą wzajemnych stosunków, nie pojedynczych wartości, bowiem jedynie powszechna względność ma cechy absolutne. Merde!

„Gwardia nie cofa się – gwardia umiera". Umiera gwardia, ostatnim czasem umiera szybciej i liczniej. Także gwardia najbardziej względnej spośród wszystkich względnych rzeczywistości: gwardia teatru. Wiosną wczesną zmarła nestorka polskiej krytyki – Maria Bechczyc-Rudnicka, recenzent, tłumacz, kierownik literacki, pisarz, dziennikarz, publicysta. Żywa historia scen polskich i scen rosyjskich (tych ostatnich z przełomu XIX i XX wieku). Późną wiosną zmarła nestorka sceny polskiej – Seweryna Broniszówna, ostatnia aktorka, która występowała w „Irydionie" na inaugurację sceny Teatru Polskiego w Warszawie (luty 1913).

W lecie odeszła Stanisława Perzanowska, popularna Mama Matysiakowa z serialu radiowego, ale przede wszystkim wpisana do historii polskiej kultury licznymi realizacjami na scenie jaraczowskiego „Ateneum" w latach 1931–1939, reżyser wszystkich ról tego wielkiego artysty w drugiej połowie „międzywojnia". Perzanowska, nie tylko znakomita aktorka, lecz i współtwórca wielkości teatru Stefana Jaracza, żyjąca ostatnio blaskiem sukcesu radiowego w oddaleniu od żywej, pełnej sceny, której brakło jej wytrawnej ręki i mądrej umiejętności współpracy z aktorem.

Z końcem lata opuściła na zawsze świat, który jest teatrem, Zuzanna Łozińska, aktorka, potrafiąca zachować młodość dłużej niż ktokolwiek inny. Wierna swemu

powołaniu i misji. Związana nie z centrum, ale peryferiami: niegdyś aktorka teatru jeleniogórskiego. Wszystkie te kobiety – jak na gwardię przystało – kapitulowały, nie cofały się przed wiekiem, słabością, zmęczeniem: walczyły do końca. O teatr i dla teatru. I niczym owe drzewa ze sztuki Cassony umierały stojąc. Odeszły i wraz z nimi odeszło coś więcej niż człowiek. Nieprzeciętny człowiek nawet. Bowiem odszedł kawał historii.

Teatr, w przeciwieństwie do innych sztuk, żyje niczym łątka-jednodniówka: egzystencją bujną, lecz krótką. Ginie wraz z cowieczorną śmiercią spektaklu i roztapia się w niebycie wraz z ludźmi, którzy go tworzą. Oni tylko niosą i unieść są zdolni historię teatru, tradycję aktorstwa, szkołę reżyserii. Wszystko poza żywymi, wszystko po nich jest już milczeniem.

W kwietniu poradziłem znajomej dziennikarce z Telewizji, aby zrobiła dużą audycję o Broniszównej. Mogło to być na przypadające za parę miesięcy 70-lecie powstania Teatru Polskiego, mogło stanowić materiał historyczny sam dla siebie. Nie chodziło nawet o natychmiastowe emitowanie, lecz by zatrzymać czas, by ocalić pamięć. Grunt, żeby taśma znalazła się w archiwum. Pani Seda wysłuchała o co idzie, zastanowiła się i... odmówiła. Potem byłem u niej sam i namawiałem ją na zrobienie dużego materiału prasowego o niej.

– Ale bez żadnych nagrań – zastrzegła się.

Przystałem. Nie potrafię zresztą pracować z maszyną do rejestrowania człowieka. Wyznaczyła mi termin spotkania, lecz kazała zatelefonować wcześniej. Zatelefonowałem.

– Źle się czuję – powiedziała – za dwa tygodnie.

Za dwa tygodnie było już za późno. Gwardia nie cofa się, gwardia umiera. Merde.

Pani Bechczyc żyła na pograniczu dwu kultur, dwu narodów: Polski i Rosji. Zaczynała swoje życie społeczne jako pensjonariuszka Instytutu Maryjskiego dla szlachcianek, kończyła jako przewodnicząca lubelskiego OKON-u Między jednym a drugim było prawdziwe, długie życie, które potrafiła opancerzyć młodością. Nie dlatego, że chwaliła młodych, awangardę i teatry studenckie. To robiło wielu ludzi starych. Ona po prostu widziała wszystko w kategoriach swego czasu, jakby szła z nim w dobre i złe. Poddawała się epoce, płynęła wraz ze współczesnością z tym samym zapałem i wiarą zarówno wówczas, gdy pisała rozprawę dyplomową u prof. Tarlego w St. Petersburgu, jak i gdy przekładała sztuki Adamowa, jurowała na Lubelskiej Wiośnie Teatralnej w latach siedemdziesiątych czy organizowała akcje kulturalne warszawskiego Komitetu Rosyjskiego w latach czterdziestych. Była poza czasem, ale nie poza jego meandrami, nie poza konfliktami, jakie niósł. Robiła wiele, myliła się wiele i świadczyła o wielu. Nie zrobiła tylko jednego, do czego ją od lat namawiałem – nie napisała swych pamiętników. A mogły być kopalnią wiedzy i wielką przygodą, tak jak wiedzą i przygodą było jej życie. I wszystko to przepadło, bo... gwardia umiera. Merde!

Autentyczne, wielkie zasługi dla teatru oddała polskiej kulturze Perzanowska w okresie przedwojennym. Pracowała z Jaraczem i jej udziałem były wspaniałe role „Majstra" na scenie „Ateneum". Ona bowiem stała się jedynym reżyserem tego najznakomitszego aktora owego czasu. Potrafiła z nim pracować, potrafiła chronić go przed atakami nałogu, wyciągać z depresji, potrafiła żyć jego trudnym życiem. Narzucała scenie swój własny, ostry styl uwydatniający talent mistrza, służący mu i pracujący dlań. Teatr był jej życiem tak dalece, że nie potrafiła wyrzec się go w warunkach bojkotu wojennego. Złamała ZASP-owski zakaz współpracy z oficjalnymi scenami, narażając się na surowe publiczne potępienie. To też odsunęło ją w pierwszych latach w cień. Cień, który spłynął prędko i Perzanowska znów wróciła w pełni matczynego ciepła i kobiecości, aby zostać Matysiakową – symbolem warszawskiego matkowania czasowi, zdarzeniom i nowym pokoleniom.

Nawet wówczas, gdy stan zdrowia odciął ją od tych zdarzeń, pokoleń i tego czasu, gdy nagrania „Matysiaków", a raczej roli Perzanowskiej musiano robić już w jej mieszkaniu, nie w studio, bez udziału partnerów, zdając się na karkołomność montażu,

sklejek i gimnastyki z taśmą. A gdy się o tym wszystkim pomyśli, gdy przywoła się czas stracony, trudno nie zakląć, że przez ostatnich lat trzydzieści z górą zabrakło za stolikiem reżyserskim „pani Stasi" umiejącej tak precyzyjnie władać rzemiosłem, z którego uczyniono młot do przekuwania w abstrakcję nowoczesności dobrze skrojonych sztuk, napisanych do grania ról i skomponowanych do wypowiedzenia kwestii. Teraz już tylko można powiedzieć jak Cambronne: merde!

Kiedy siadałem do pisania tego felietonu, wpadł mi do ręki numer „Życia Warszawy". Zwyczajem ludzi sędziwych spojrzałem na nekrologi. *„Z głębokim żalem zawiadamiamy o śmierci Zuzanny Łozińskiej* – czytałem – *jednej z wielkich aktorek sceny polskiej...* – i dalej – *czynnej nieprzerwanie od chwili debiutu w 1913 roku aż do ostatnich dni życia. Zmarła kreowała główną rolę w nowym filmie pt. Klakier i odeszła nagle tuż po jego ukończeniu. Zespół filmowy Silesia"*. Mój smutek równał się zdziwieniu. Tak niedawno jeszcze obchodziliśmy w Jeleniej Górze kolejny jubileusz „Pani Zuzi". Wystąpiła w „Peer Gyncie" wspaniale zrealizowanym przez Henryka Tomaszewskiego, który wierny swej pasji mimodramatycznej nie szczędził aktorom ewolucji gimnastycznych. Łozińska grała Matkę, była wstrząsająca w scenie śmierci, ale przechodziła samą siebie (a już wówczas była po 80-tce) w trudnych i karkołomnych scenach ruchowych, na niebezpiecznych, wysokich podestach, gdzie dokazywała cudów zręczności i sprawności fizycznej. Wydawało się wówczas, że umknęła czasowi. Zwłaszcza gdy schodziła zaraz po spektaklu do Klubu Aktora, siadała z kolegami (młodszymi i najmłodszymi) i z zapalonym papierosem w ustach, nie gardząc mocnym trunkiem, zaczynała opowiadać. Martwy teatr przedwczorajszy ożywał, zakwitała zakurzona historia, cofał się na jej życzenie czas. I to już minęło? To skończyło się i nigdy nie powtórzy? To wszystko odeszło z Panią Zuzią na zawsze? Nie można się pogodzić z taką rzeczy koleją! Niepodobna. Merde!

Nie wątpię, że soczysty język tego wspomnienia, tak bardzo nietypowego w formie, może niejednego z mych Czytelników zirytować. Może wydać się niestosownym. Ale już tylko klątwą, już tylko słowem złym i ordynarnym jestem w stanie tę jedną jeszcze niesprawiedliwość skwitować. Niesprawiedliwość Losu, który zabiera nam coś tak cennego i tak wspaniałego, jak owych ludzi niosących w sobie żywe świadectwo czasu, tylko dla zachowania głupiej zasady przemijania wszystkiego i wszystkich. Wiem dobrze, że niepodobna żalić się i rozpaczać nad śmiercią ludzi, których życie przekroczyło miarę przeciętnej egzystencji tak w czasie, jak i powodzeniu, w intensywności doznań i dokonań. I dlatego klnę, klnę jak żołdak (ów gen. Cambronne) na tę krzywdę, na tę stratę, na ten głupi czas, który już... już... zdawało się zatrzymał się dla nich, a przecież nie! Tylko się zaczaił. Merde!

PS. W ubiegłym miesiącu przyobiecałem w każdym felietonie anegdotę teatralną. Ta anegdota nie pasuje, bo jakże tak, skoro było o śmierci, ale jeszcze mniej pasuje łamanie danego słowa. Więc... więc we wczesnych latach powojennych na scenie Teatru Polskiego w Warszawie prowadził próby sam Ludwik Solski, zbliżający się raźnym krokiem do setki. Ten nieposkromiony człowiek, bez wieku i z naddatkiem sił witalnych ogromnym, próbował w ruchu. Nie mógł usiedzieć za stolikiem to wpadając na scenę, to z balkonu sprawdzając widoczność, to z lóż pierwszego piętra słyszalność. Wreszcie razu pewnego, drżąc już nie o siły, ale wprost o życie szalejącego artysty, dyrektor teatru wezwał do siebie asystenta Solskiego i rzekł w te słowa:

– Proszę pana, trzeba coś zrobić, aby Mistrz bardziej się oszczędzał, przecież jak na próbach będzie tak nieustannie biegał po schodach, to pewnego dnia po prostu serce nie wytrzyma i Solski nam umrze.

– Panie dyrektorze – odpowiedział asystent – on już dawno nie żyje. Tylko tego nie zauważył.

■